

tworzyliśmy jedną rodzinę. To też zwlekałem z wystąpieniem; w końcu zaś postanowiłem przesunąć powzięcie decyzji na czas po powrocie z pogrzebu brata Władysława, który zmarł w Warszawie. Zawiadomiony telegraficznie o tym rodzinnym nieszczęściu, wyjechałem bezzwłocznie. Z Warszawy miałem się udać do narzeczonej, mieszkającej w domu rodzicielskim w Płocku. Tam chciałem ostatecznie postanowić o zerwaniu z tym ciepłym życiem koleżeńskim Weleccji.

Przebywanie w różnych środowiskach, ciągła zmiana nastroi i wrażeń, nie zmieniła jednak kierunku mojego nastawienia. I chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że wchodzę na drogę bardzo ciężką i niebezpieczną, trzymałem się raz wytkniętej linii. / Gdybym wtedy nie był w stanie oprzeć się autosugestii, która czyniła mocne naciski na moje ideologiczne nastawienie, musiałoby nastąpić załamanie, oceniane przeze mnie za największe nieszczęście życiowe. X

Po tym zwycięstwie nad samym sobą, powróciłem do Rygi znacznie psychicznie wzmocniony.

#### R O Z D Z I A Ł    I V .

Nadeszła sobota i posiedzenie tak zwanego koła. Na porządku obrad postanowiono uchwały, nakładające na wszystkich członków korporacji obowiązek złożenia słowa honoru, że nie będą uczestniczyć w żadnych nielegalnych stowarzyszeniach.

Pierwszy zabrałem głos w tej sprawie, zwalczając ten niegodny punkt porządku obrad. Mówiłem długo i z wielką mocą. Wrażenie przemówienia musiało być silne, skoro jeden z kolegów zemdlakł i trzeba było wezwać lekarza. Bezpośrednio po zakończeniu przemówienia, w wielkim podnieceniu, wypisałem na kartce swe wystąpienie i skłoniwszy się zgromadzonemu opuściłem zebranie.

Na drugi dzień, kiedy rozeszła się wieść o moim wystąpieniu z We-

lecji, przeszło trzydziestu kandydatów uczyniło to samo. Ponieważ jednak z młodzieżą tą o wystąpieniu z korporacji nie nie mówiłem, decyzja ich była dla mnie niespodzianką. Natomiast większość kolegów starszych, z którymi sprawę wystąpienia uprzednio omawiałem, nie mieli dostatecznej mocy, aby się zdobyć w ostatniej chwili na taką decyzję. Nie bardzo się temu dziwiłem, wiedząc, że i mnie nie łatwo to poszło.

Po wystąpieniu z korporacji, utworzyliśmy stowarzyszenie bez burszowskiej firmy zewnętrznej, zasilone młodzieżą dotychczas nie stowarzyszoną. Nowa organizacja jako całość, nie miała jednak łączności z działalnością konspiracyjną. Jedynie oddzielni jej członkowie byli wtajemniczani i pociągani do współpracy.

Zbliżenie nasze do dwóch starszych osób, pozostałych z rozgromionej w roku 1886 partii socjalistycznej "Proletariat", spowodowało założenie na nowo sekcji ryskiej tej organizacji. Spodziewaliśmy się bowiem, że w Warszawie zapewne istnieje nowa jej centrala.

Partia Proletariat hołdowała wszystkim międzynarodowym doktrynom socjalistycznym. A więc walka klas, wiara w łączność międzynarodową proletariatu, materialistyczne pojmowanie dziejów Marxa i t.d. Całe nadzieje w spodziewanym przewrocie opierano przede wszystkim na ludzie robotniczym; który zdobędzie dyktaturę i narzuci nowy porządek na świecie.

Ja, który zawsze i wszędzie szukałem harmonii i chętniej widziałbym w zjawiskach życiowych przewagę czynników idealnych, nie mogłem uwierzyć w pełni w doktryny socjalistyczne. Owszem, pragnąłem całym sercem podnieść na wyższy poziom socjalny i kulturalny rzesze w Polsce, lud wiejski i miejski. W tych warstwach wyczuwałem istnienie wielkich energii potencjalnych, które wyzwolone odegrają największą rolę w rozwoju narodu i w walce o wolność jego.

Doktryny socjalistyczne - walki klas - przyjąłem jako jedynie wówczas popularne i konieczne emblematy, mało wpływające na treść pracy wśród klas upośledzonych. Okazało się później, że wielu pracujących wśród nizin społecznych myślało podobnie.

Celem stworzenia odpowiedniej literatury dla mas ludowych, sprowadziliśmy z zagranicy drukarnię uruchomianą za pomocą dźwigni ręcznej.

Przy wszystkich zabiegach technicznych, jak sprowadzenie jej przez "zieloną" granicę, umieszczenie i zmontowanie jej w odpowiednim mieszkaniu i wielu innych czynności związanych z uruchomieniem drukarni, najwięcej gorliwości i umiejętności wykazał ~~osierdziesiętletni~~ <sup>osierdziesiętletni</sup> nasz towarzysz partyjny, Zieliński. Zamieszkał on przytym sam w mieszkaniu z drukarnią.

Na mnie przyszła również kolej wyjechania nielegalnie zagranicę. Okazało się bowiem, że w sprowadzonych przez Zielińskiego czcionkach, skład liczbowy liter był dostosowany do tekstu niemieckiego. W polskim stosunek ten był inny i z powodu niewystarczającej ilości niektórych liter, nie można było składem drukarskim wypełnić nawet jednej ramy.

Pracę trzeba było wstrzymać, a ja wyjechałem bezzwłocznie po brakujące czcionki do Berlina.

Było to w listopadzie 1890, kiedy przechodziłem przez rzekę graniczną rosyjsko-niemiecką zanurzony w wodzie prawie po szyję. Po kilku dniach wracałem przez ten sam punkt graniczny, obładowany nie tylko skrzynkami czcionek, lecz również większym transportem literatury. Mieliśmy także po stronie niemieckiej pomocnika, do którego wszystko się zwoziło. Scisły kontakt przemytników obu stron granicznych zapewniał nielegalnemu transportowi dość dużą sprawność.

Samo przedostanie się towaru na stronę rosyjską, nie natrafiało na większe trudności. Rosyjska straż graniczna, pełniąca stale służbę na

tym samym miejscu, była przekupiona i patrzyła przez palce na przemyt.

Dopiero dalsze przewiezienie towaru przez wszystkie kordony graniczne stanowiło większą trudność i połączone było z pewnym ryzykiem. Po drogach w całym pasie nadgranicznym patrolowała konna straż graniczna, zmieniająca bezustannie rejon działania. Nawiązanie więc z nią przyjaznych stosunków było niepodobieństwem. To też przez kordony przeprowadzano przemyt na los szczęścia. Sam doświadczyłem, w jaki sposób unikało się niebezpiecznego spotkania z organami kontrolnymi. W pewnej znaczniejszej odległości od siebie jechały dwa wozy. Na pierwszym z nich siedział sam przemytnik, nie wiozł zakazanego towaru, miał jednak wóz wyładowany słomą w ten sposób, aby robiło wrażenie, że w niej coś ukrywa. Na drugim wozie znajdował się przemyt. O ile napotkany patrol kontrolny wykazywał chęć dokonania rewizji, wówczas przemytnik dyskretnie dawał znać drugiemu woźnicy, który zawracał i oddalał się od zagrożonego miejsca. O ile patrol nie zainteresował się wozem, co się dość często zdarzało, wówczas obydwaj jechały spokojnie dalej.

W towarzystwie służącego starego przemytnika przeprawiliśmy się przez rzeczkę od strony niemieckiej na brzeg rosyjski. Ładowaliśmy w fałdzie terenowej, która czyniła przeprawę niewidoczną. Towarzysz mój ułożył ciężkie skrzynki z czcionkami w worku opodal brzegu, sam zaś udał się dalej dla zbadania, czy czasem nie ma na naszej drodze jakiegoś nieznanego strażnika.

Sporo czasu mijało, a towarzysz nie wracał. Zaniepokojony przypuszczałem, że zaszło coś nieoczekiwanego. Na wszelki wypadek wydobyłem rewolwer i czekałem dalej. Zamierzałem w razie potrzeby użyć broni i szybko przebrnąć na brzeg niemiecki. Zapadająca ciemność sprzyjała moim zamiarom.

Niepokój mój okazał się nieuzasadniony. Wkrótce ujrzałem znaną sylwetkę mojego towarzysza, który szybkim krokiem zbliżał się ku mnie. Obładowani ruszyliśmy w drogę. Prowadziła ona tuż obok budynku strażniczego. W chwili, kiedyśmy go mijali, odezwało się gwałtowne szczekanie psów we wsi. Zerwaliśmy się z miejsca i biegnąc dopadliśmy do obejścia przemytnika. Skrzynki z czcionkami umieściliśmy pośpiesznie w stercie słomy, stojącej na podwórzu, ja zaś schowałem się do śpichlerza, gdzie urządzono mi nawet sypialnię, Do domu przemytnika zaходили bowiem często żołnierze straży granicznej po prowianty; trzeba było zatem mieć się na baczności i unikać spotkania.

Wieżione przeze mnie wydawnictwa zagraniczne pozostawiłem na stronie niemieckiej, skąd je już później przeniesiono przez granicę przyjętym sposobem i dostawiono nam do Rygi.

Trzeba było teraz obmyśleć sposób zapakowania czcionek, by móc je zawiesić pod ubraniem. Córka gospodarza uszyła mi szeroki pas z grubego płótna, z licznymi kieszonkami wokoło; do nich wkładało się czcionki, złożone tak jak do druku małych stroniczek. Pas posiadał mocne szelki, również uszyte z płótna. Nakładanie pasa natrafiało na duże trudności. Wszak ołów czcionek ważył ponad 40 kg., a cały ten niezwykły strój trzeba było nakładać przez głowę.

Gdy już wszystko było gotowe, ruszyliśmy zwyczajnym trybem, w dwóch ekwipażach w drogę. Stary gospodarz jechał przodem, ja zaś z córką jego, odświętnie ubraną, jechaliśmy w pewnym oddaleniu za nim. Strój uroczysty miał robić wrażenie, że jedziemy na wesele. Trzeba było dojechać do stacji kolejowej położonej w znaczniejszej odległości od granicy

Bez jakiegokolwiek przypadku dotarliśmy szczęśliwie do miasteczka oddalonego kilka kilometrów od dworca.

Pożegnałem moją towarzyszkę podróży, nieświadomą wspólniczkę przestępstwa politycznego i udałem się na nocleg do miejscowego hoteliku. Gdy na drugi dzień przyszło mi ponownie nałożyć pas wyładowany ołowiem, mocno się zmęczyłem. Dwukrotne przekraczanie rzeczki granicznej, w bardzo już zimnej porze roku, spowodowało silne przeziębienie i znaczne osłabienie.

Po przybyciu na stację kolejową, zaraz na wstępie spotkałem żandarma; zajęłem go rozmową, pytając kiedy pociąg odchodzi i prosiłem o wskazanie bufetu. Ubrany byłem jak młody ziemianin. Widocznie nie wzbudzałem podejrzania skoro odpowiedział mi uprzejmie, a nawet odprowadził do bufetu. Musiałem użyć całego wysiłku, aby chód mój był możliwie lekki i elastyczny i aby nie budził podejrzeń. Nie było to rzeczą łatwą, mając taki ciężar na sobie.

Do Rygi miałem długą drogę, a szelki obciążone pasem, wpijały się w ciało i raniły. Trzeba było jednak tak przetrwać przez wszystkie kordony, w obrębie których przeprowadzano od czasu do czasu rewizję w wagonach. Później jednak wypruwałem dyskretnie stroniczki ołowiane z pasa i chowałem je do ręcznej walizeczki. W ten sposób pozbyłem się dalszych cierpień.

Duże nasze potrzeby techniczne wymagały sporo pieniędzy, a <sup>nasze</sup> wkładki nie wystarczały. Ja sam wpłacałem połowę pensji otrzymywanej co miesiąc z domu. Szukając wyjścia, rozpoczęliśmy prowadzić pewne dochodowe przedsiębiorstwa. Najwięcej przynosiło nam wydawanie skryptów wykładów profesorskich. Do tej współpracy, zresztą zupełnie legalnej, mogliśmy powołać całą rzeszę kolegów. Jedni z nich wybierali sobie przedmiot przesłuchany do starannego opracowania, inni znowu zajęci byli przepisywaniem opracowanego materiału atramentem litograficznym. Robota była bardzo staranna,

a pismo imitujące druk ułatwiało czytanie. W ten sposób prowadzone wydawnictwo wykładów profesorskich, zapewniało nam dochody przy kosztach minimalnych, sama praca bowiem była wykonywana bezinteresownie.

Znaczne dochody mieliśmy też od rewolucjonistów rosyjskich, którzy stanowili dużą grupę wśród studentów tej narodowości. Mieli oni dużo pieniędzy, a w swojej działalności okazywali nadzwyczajną niezaradność. Sprowadziliśmy więc dla nich dużo książek i wydawnictw zagranicznych i przechowywaliśmy im całą ich literaturę nielegalną w naszych zakonspirowanych składach; a za to wszystko musieli nam dobrze płacić. Spędzali przeważnie czas na zebraniach wieczornych przy wtórze pieśni rewolucyjnych, no i przy kieliszku. Żandarmi i agenci starannie ich pilnowali pomimo, że samym śpiewaniem nie sprawiali wiele niepokoju swym aniołom stróżom.

Gdy w ciepłej porze roku, młodzież rosyjska, rewolucyjna wynosiła się nad morze, do Majorenhofu, miejscowości w pobliżu Rygi, wówczas pilnujący ich żandarmi i agenci ciągnęli za nimi. Ryga była natenczas pozbawiona zupełnie opieki politycznej. Obserwując to, mówiliśmy między sobą, że ta część młodzieży rosyjskiej stanowi dla naszego bezpieczeństwa rodzaj piorunochromu.

Przy coraz większym angażowaniu się w pracy ideowej, nauka w politechnice musiała z natury rzeczy bardzo ucierpieć. I o ile w początkowych moich studiach mogłem <sup>być</sup> w zakładzie naukowym przykładem dla innych, to w późniejszym czasie przestałem pod tym względem być wzorem.

Początkowa praca moja naukowa była jednak tak wydajna i tak bardzo byłem zaawansowany w studiach, że dalsze zaniedbania nie miały już większego znaczenia.

Droga, po której szedłem zarysowywała się coraz wyraźniej. Wprawdzie instynkt samozachowawczy odzywał się jeszcze i protestować próbował,

lecz nie miał już tej siły, co wówczas przed wystąpieniem z korporacji. Czułem wtedy, że chociaż życie moje dalsze będzie wyglądało na zewnątrz jako bardzo ofiarne, to sam nie będę tego uważał za poświęcenie.

Wprawdzie zdawałem sobie sprawę z tego, że była to ofiara, lecz spowodowana czynnikami z zewnątrz, na które nie miałem wpływu, Ciężki i bardzo smutny los naszego narodu wytwarzał te niezwykle silne wrażliwości psychiczne. Ale, gdy już taki stan zaistniał, nie było rady i trzeba się było poddać idealistycznym porywom. W przeciwnym razie, zgłotałoby się nieszczęście dla samego siebie. Pod wpływem tej wrażliwości duchowej lepsza byłaby śmierć, niż utrata swej godności.

Taki to już bowiem porządek panuje na świecie, w którym istnieje przepiękna harmonia zjawisk przyrodniczych. Gdy się gdziekolwiek nagromadzi dużo brzydactwa ludzkiego, to dla rekompensaty występują jednostki o wyjątkowych nastawieniach ideowych.

Gdy już nielegalna działalność nasza w Rydze mocno się rozwinęła, odczuliśmy potrzebę nawiązania stosunków z centralą partyjną w Warszawie. Nie było to jednak łatwym zadaniem. Posiadałem wtedy jeden tylko adres z przed kilku lat, który ewentualnie mógłby naprowadzić na ślad mocno zakonspirowanych towarzyszy.

Pojechałem więc do Warszawy i po niedługich poszukiwaniach dotarłem do centralnego komitetu partii. Na czele organizacji stał Bolesław Jędrzejowski. Poznałem wówczas także Feliksa Perla, pochodzenia żydowskiego, który się odznaczał wielkimi uczuciami polskimi. Miał również duże zdolności pisarskie i krasomówcze. Zetknąłem się oprócz tego z szeregiem bardzo inteligentnych robotników.

Wiadomość o istnieniu sekcji ryskiej i jej żywej działalności, sprawiła duże wrażenie na Warszawiakach. Zostałem nawet zaproszony na wieczorek robotniczy. Tam poznałem Antoniego Dobrowolskiego, późniejszego



podróżnika do bieguna południowego i profesora w Warszawie. Spotkałem również Władysława Grabskiego, późniejszego ministra skarbu w niepodległej Polsce. Był on <sup>WOWCZES</sup> ~~jeszcze~~ bardzo młody, bo jeszcze nosił mundur gimnazjalny.

Oprócz partii "Proletariat" mającej już tradycje, były w Warszawie i inne organizacje socjalistyczne. Do jednej z nich należał Grabski, Abramowski, późniejszy wybitny filozof, Stanisław Wojciechowski, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej, Bolesław Miklaszewski, twórca wyższej szkoły handlowej w Warszawie i jej pierwszy rektor, Mielczarski, późniejszy wybitny pionier przy tworzeniu i rozwoju największej kooperatywy spożywczo-wytwórczej "Społem".

Mógłbym wyliczyć jeszcze wiele nazwisk osób, które przechodząc w swojej młodości przez lewicowe organizacje, zajmowały później wybitne stanowiska w wolnej Polsce. Można nawet zaryzykować twierdzenie, iż prawie wszyscy starsi ludzie, którzy w wolnej Polsce przejawiali działalność wybitną i państwowo-twórczą, należeli w swoim okresie młodzieńczym do organizacji socjalistycznych.

Podczas pobytu mego w Warszawie przekonałem się, że wszyscy inteligentniejsi przedstawiciele socjalizmu naszego pielęgnowali uczucia niepodległościowe i główną treścią ich działalności była walka z zaborcami. Nie potrafili jednak wyzwolić się jeszcze od emblematów doktrynerskich klasycznego socjalizmu zachodniego. Od wpływów rewolucji wschodniej, obiecującej nam wszelką wolność w granicach wielkiej Rosji, mającej powstać na gruzach caratu, byli już zupełnie zabezpieczeni. To stwierdzenie ucieszyło mnie i wzmocniło psychicznie.

Obiecywałem moim towarzyszom warszawskim dostarczyć wydawnictwa zagraniczne i całą produkcję ryskiej drukarni. Mieli nas zawiadamiać o swoich zapotrzebowaniach i przysyłać manuskrypty do druku. W Warszawie

wydawali oni i drukowali sami różne proklamacje, ale były bardzo nieczytelne, bo odbijane ze składów czcionkowych szczotkami, tak jak się to robi dla przeprowadzenia korekty.

Było naszą ambicją wszystkie koszta współpracy z Warszawą pokrywać własnymi siłami.

Po powrocie do Rygi praca nasza ruszyła wzmożonym tempem. Zabrałem ze sobą Feliksa Perla, który współpracował w drukarni.

Pierwszy wielki transport druków do Warszawy dostarczyłem sam. Wielki kufer podróżny zapełniłem wydawnictwami zagranicznymi i ryskimi.

Stanałem w hotelu Słowiańskim na Podwalu. Było to w grudniu 1890. Opróżnienie przywiezionego kufra nastąpiło w przeciągu kilku godzin przez towarzyszy, przybywających kolejno i wynoszących pod swoimi płaszczami zakazany towar.

Po oddaniu w ten sposób całej literatury, wyjechałem na jakieś 10 dni do Płocka celem odwiedzenia narzeczonej, Tu znalazłem prawdziwy odpoczynek w miłym zaciszu rodzinnym.

Powróciwszy do Warszawy, dowiedziałem się z niemałym przerażeniem, że tymczasem nastąpił pogrom partii "Proletariat". Oprócz nielicznych stosunkowo członków organizacji, którym udało się zbiec zagranicę, prawie wszystkich wybitniejszych działaczy ujęto i osadzono na Pawiaku.<sup>x/</sup> Dowiedziałem się również, że w więzieniu policja strasznie maltretuje i i bije towarzyszy, których całym przewinieniem była agitacja i rozdawanie broszur.

Okazało się później, że wszyscy oni byli już przedtym śledzeni, t.j. przed wynoszeniem mego transportu z hotelu i czekano tylko na moment, kiedy będzie można za jednym zamachem rozgromić jak największą ilość "buntowników". Możliwe, że i ja zostałem przytym zdekonspirowany, a nie aresztowano mnie zapewne tylko ze względów taktycznych, Byłem zupełnie

403

x/ Więzienie kryminalne, w którym osadzano początkowo także politycznych przestępców.

nowym i nieznanym osobnikiem, którego należało pozostawić na swobodzie, jako narybek dla dalszych masowych aresztowań. Wprawdzie o moim nazwisku i miejscu stałego przebywania nikt z aresztowanych nie był poinformowany, a tym, którzy coś wiedzieli, udało się wyjechać zagranicę, w każdym jednak razie bezpieczeństwo moje było zagrożone.

Wzburzony do głębi tym co w Warszawie zastałem, w szczególności zaś zwierzęcym traktowaniem więźniów, powróciłem do Rygi z tym, że jakaś bardziej radykalna reakcja musi z naszej strony nastąpić.

Tym razem podróż moja powrotna do Rygi odbywała się z zachowaniem wszelkich ostrożności, celem zatarcia wszelkich śladów za sobą.

Po powrocie, rozważaliśmy w nielicznym zaufanym gronie możliwości odwetowe z naszej strony, wobec ostatnich brutalnych represji stosowanych w Warszawie.

W tym mniej więcej czasie ponieśliśmy dotkliwą stratę. Nasza placówka graniczna, oddająca nam tak nadzwyczajne usługi, przestała dla nas istnieć. A sprawił to niechęący jeden z rewolucjonistów rosyjskich, student politechniki Iwanow, pochodzący z Syberii. Odnosząc się bardzo krytycznie do działalności swoich rodaków z europejskiej części Rosji, uprosił nas o przyjęcie go do współpracy.

Sybiraków narodowości rosyjskiej i polskiej wiązało bardzo silnie wspólne pochodzenie, a wielki kraj azjatycki stanowił dla nich pewnego rodzaju ojczyznę, do której byli niezmiernie przywiązani. Bez różnicy swego pochodzenia narodowościowego, byli oni wielkimi patriotami swego kraju. Było to zupełnie zrozumiałe, jeżeli się zważy, że Syberia posiada piękną przyrodę, a jest przytym słabo zaludniona. Jej część południowa posiada ponadto bardzo łagodny klimat.

Fakt, że względnie znaczną część inteligencji syberyjskiej stanowili potomkowie zesłańców politycznych, wytworzył większą moralność i wartość

ideową górnej warstwy społeczeństwa, w porównaniu z mieszkańcami Rosji europejskiej. Stosunek do Polaków był tam bardzo bliski i zupełnie szczerzy. Te właśnie względy zaważyły na uczynieniu zażość życzeniu Iwanowa.

O Syberii opowiadał mi wiele Piłsudski, który pozostawał tam na zesłaniu sześć lat. Mówił, że odczuwa tęsknotę za tym krajem; pamiętam jego słowa: "Gdy już będę bardzo znużony działalnością w Polsce, chciałbym być znowu zesłany na Syberię, na osiedlenie, bo tam mógłbym najlepiej odpocząć".

Iwanow, który jednocześnie odskugiwał w Rydze jednoroczną służbę w wojsku, chcąc w szerszej mierze wykorzystać swój czas dla współpracy z nami, czynił różne zabiegi, by go zwolniono z wojska, jako niezdatnego do dalszej służby. W tym celu przeciął sobie ścięgnę u prawej ręki, a gdy to nie odniosło skutku, przestrzelił sobie rewolwerem palec wskazujący. Ale i to zawiodło, bowiem z racji małego kalibru kuli, wytworzył się tylko mały otwór w środku kości, co się później również zagoiło

Tymczasem dwa te zabiegi Iwanowa zwróciły uwagę jego przełożonych. Wszczęto śledztwo w tej sprawie i groziła mu surowa kara za rozmyślne działanie dla uchylenia się od służby wojskowej. Postanowił więc uciec zagranicę. Chcąc mu w tym pomóc, skierowaliśmy go na naszą placówkę graniczną, dając mu paczkę najnowszych naszych druków, dla dostarczenia ich do przedstawicielstwa londyńskiego naszej partii.

Na granicy, przy spotkaniu się z drugim takim uciekinierem politycznym z Warszawy, zostali obydwaj przez straż ujęci. Sytuacja była groźna. Nie tylko straciliśmy możliwość dalszego korzystania z doskonałej placówki granicznej, która nam dotychczas nieocenione dawała usługi, ale ponadto groziło to rozkonspirowaniem miejsca pochodzenia pakietu wiezionego przez Iwanowa. Na szczęście mieli obydwaj zaaresztowani uciekinierzy

możność porozumienia się i ponieważ nie było już sposobu zniszczenia wiezionej paczki, przypadkowy towarzysz Iwanowa poświęcił się i przyjął ją za swoją. Zresztą, jak twierdził, nie było to z jego strony <sup>wielkie</sup> takie poświęcenie, albowiem miał już wiele innych grzechów na sumieniu.

Gdy protokół graniczny znalazł się w centrali warszawskiej żandarmerii, powstało u nich podejrzenie, że broszury znalezione w paczce są pochodzenia ryskiego. I tutaj zaszła okoliczność, która uratowała nas z opresji, a która była charakterystyczną dla stosunków panujących wówczas wśród żandarmów rosyjskich, na tle wzajemnej konkurencji zawodowej. Kiedy bowiem placówka warszawska, na podstawie swych podejrzeń, zwróciła się do żandarmów ryskich o dokonanie miejscowego wywiadu i przesłała im cały szereg sprecyzowanych zapytań, ci uczuli się dotknięci wkroczeniem żandarmów warszawskich na ich teren i dochodzenie przeprowadzili w sposób zupełnie nieoczekiwany, a dla nas bardzo korzystny. Chociaż powołano do zeznań cały szereg studentów z naszego towarzystwa pozakorporacyjnego, to jednocześnie pytania stawiane były w ten sposób, że zanim badany zdążył dać odpowiedź, już mu ją sugerowano. Żandarmi wypowiadali przytym dość bezceremonialną krytykę pod adresem swoich kolegów warszawskich, zarzucając im brak inteligencji oraz nielogiczność w formowaniu podejrzeń.

Trzeba dodać, że tylko mała część kolegów była wtajemniczoną w fakt istnienia naszej drukarni w Rydze. Najzupełniej negatywny wynik śledztwa był doskonałym dowodem, jak bardzo zależało żandarmom ryskim na niewykryciu w ich rejonie przestępczych poczynań polskich studentów.

R O Z D Z I A Ł V.

Jesień 1891 rozpoczynała okres radykalnej naszej roboty. W niewielkim gronie zaufanych dojrzał już plan odwetu w Warszawie. Nie zważając na nasze studia politechniczne, postanowiliśmy wyjechać na teren bezpośredniego działania.